



**HELENA
SEKUŁA**

The background of the book cover is a composite image. The upper portion shows a night sky with a large, bright full moon in the top right, a comet streaking across the center, and numerous stars. The lower portion shows a dark, silhouetted shoreline with trees and reeds, reflected in a calm body of water. The overall color palette is dominated by deep blues, purples, and blacks, with the red of the author's name and the title's background providing contrast.

**NOC
BLISKIEGO
KSIEŻYCA**

Helena Sekuła

NOC BLISKIEGO KSIĘŻYCA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67562-06-5

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

Przekroczył próg, zawarła się furtka. Trzask rygla za dębowymi drzwiami wsiąkł w zgiełk ulicy, agresywnej, osaczającej hałasem, spalinami zagęszczonymi w nieruchomym powietrzu, rozpalonym asfaltem.

Odwykłem, pomyślał, odwykłem.

Spostrzegł, że nieświadomie cofnął się i prawie dotyka plecami muru z czerwonej cegły. Ruszył przed siebie, wmieszał się między ludzi śpieszących zacienioną stroną chodnika. Przypominali statystów, którzy zeszli z planu filmowego i nie zdejmując kostiumów niecierpliwym tłumem podążali na obiad. Supermeni w bluzach z obszernymi rękawami, w gęstwinie patek, pasów, lśniących napów, w ostrych kolorach zestawionych kontrastowo, jakby wyskoczyli wprost z komiksów o istotach z kosmosu, sunęli sportowcy w opiętych dresach i treningowych pantoflach, maszerowały kopie Robin Hooda w sajanach o poszerzonych ramionach jeszcze bardziej podkreślonych pikowanymi wałkami umieszczonymi na szwach, w barwnych, krótkich botach o wydłużonych noskach.

Pod gardło podpełzł lęk. Przechodnie naprawdę tak wyglądają, czy tylko on ich tak widzi w nagłym ataku umysłowej dewiacji. Niezamierzony skutek symulowania? Przecież jednak nigdy nie udawał wariata, pozorował tylko depresję.

Zmieniała się moda. Zrozumiał to spoglądając na swoje oliwkowe drelichy od Woolworth'a z Londynu i buty z cholewkami do pół łydki ze ściemniałego juchtu. Gdy brali go za mury, szyk stanowiły ubrania w stylu militarnym. Młodzi mężczyźni na warszawskiej ulicy przypominali południowoamerykańskich partyzantów na przepustce. Przez miasta Europy maszerowały żołnierskie trzewiki i mundurowe trencze.

To tylko przeminał pewien odzieżowy trend, odetchnął. Jednak pozostał cień niepokoju. Może odosobnienie nie minęło bezkarnie, pozostawiło jakieś zmiany osobowości.

– Średnia statystyczna pięć lat – mówił Medyk.

– Później już każdy szajbus? – niepokoił się Szambelan.

Nie każdy. Granice odporności psychicznej nie kształtowały się wyraźnie i jednakowo u wszystkich. Niektórzy przetrzymywali w zdrowiu i dziesięć lat, innych kruszyło po dwóch, trzech, zdarzało się po roku, a nawet mniej.

– Trzeba mieć ideę, cel – tłumaczył Medyk.

– Kobita i pieczona gęś – Szambelan miał cel. Był spokojny o swoją równowagę umysłową. Gdy tylko znajdzie się za furtą, zamknie z dziewczyną i nie opuści domu co najmniej przez tydzień, najpierw zadbawszy o zapas jedzenia, picia i największą gęś, jaką znajdzie na targu, a najlepiej dwie, bo jak powiada porzekadło ptak jest to podły, jednego na obiad mężczyźnie za mało, dwa za dużo.

– Wyjść stąd – zasłonił się Łukasz.

– A ciebie, Alkor, co podpira? – badał Medyk.

Milczał. Nie naciskali. Każdy ma prawo do prywatności. Nawet Szambelan tak myślał. Alkor nie wierzył w myślenie Szambelana, uważał go za bryłę mięśni o sile wołu obdarzoną sprytem, która dawała im poczucie bezpieczeństwa pośród dwudziestu w celi. Rządził tu Szambelan, a oni wszyscy się poddawali. Większość kochała siłę, a kto słabszy, tym bardziej jej pragnął, tym bardziej służył, tym bardziej ulegał.

Medyk także miał cel. Musiał okaleczyć Bojka. Omal go nie zabił, za co dostał pięć lat, ale musiał, gdy tylko wyjdzie, naznaczyć Bojka, żeby tamten całe życie pamiętał, żeby cierpiał do końca swoich dni, albowiem doszedł do wniosku po tysiącu nocy spędzonych pod celą, że nagła śmierć byłaby dla Bojka zbyt łatwym wyjściem, wręcz wykręceniem się sianem.

– *Overkill* – nazywał to, co musiał uczynić Bojkowi. Za pomocą określenia rodem z pracowni naukowej unikał dosłowności zrozumiałej dla wszystkich, aby nie ułatwiać życia Kablowi.

Wtedy już wiedzieli, kto nadaje. Łukasz kategorycznie sprzeciwił się zdemaskowaniu Stuka i wydaniu na pastwę dwudziestu chłopów żyjących w ciasnym pomieszczeniu.

Co dawało ujawnienie kapusia? Żenujący widok skamlącego, smarkającego, pełzającego człekokształta. A mogliby utracić wszystko. Posypałyby się kary, dochodzenia, parcelacja i nieuchronnie rozerwano by ich przymierze. W najlepszym wypadku dostaliby nową Kapustę, czyli Kalafiora, czyli śmierdziela, którego być może długo przyszloby namierzać, bo mógłby okazać się inteligentniejszy, sprytniejszy niż ten ich dwulatek. Biedna, zarzygana sierota. Albowiem Śmierdziel, Skunks, vel Kabel jest związany z murami jak gryzonie, pozostaje z nimi w wiecznej symbiozie i odradza się wciąż niczym jemiola na lipie. Więc lepiej znać swojego Stuka. I przede wszystkim Medyk dla niego wymyślił ów *overkill*.

– Wypuścisz z Bojka jaja – upewniał się szeptem Szambelan, przyswajając eleganckie określenie zabiegu, jaki niejednokrotnie sam wykonywał na prosiakach, jeśli chciał wyhodować je na tuczniki.

Łukasz bez wyjaśnień rozumiał, że *overkill* w terminologii naukowej oznacza wyłupienie życia, wysterylizowanie ziemi, globu, czy to na skutek katastrofy nuklearnej, czy zachwiania równowagi biologicznej – co w odniesieniu do Bojka sprowadzało się do wytrzebiecia.

Postanowienie Medyka ani nie przerażało, ani nawet nie dziwiło, jedynie zastanawiał ten mus odczuwany przez niego. *M u s i a ł* wykastrować Bojka. Czy Medyk był jeszcze normalny i co to jest norma i gdzie, w jakim punkcie zaczyna się odchylenie? Czy dopiero wtedy, gdy się *m u s i* dokonać odrażającego czynu, czy już wówczas, kiedy sama myśl nie wywołuje sprzeciwu, kiedy dopuszcza się możliwość lub uznaje rację, dla jakich należy ów czyn spełnić.

Łukasz przyznawał Medykowi prawo okaleczenia Bojka bez żadnych wewnętrznych oporów. I nie wydawało się nienormalne, że student medycyny postanowił wytrzebić Bojka, któremu już połamał kości, niepokoił jedynie ten *m u s*. I Łukasz, Alkor, a nawet Szambelan dzień po dniu badali siebie, czy już czegoś nie *m u s z ą*.

O czym też znowu myśli! – Alkor ocknął się pośród obcego tłumu, wydającego się mniej obcym, odkąd minęło zaskoczenie bardzo odmienioną modą. O czym myśli. Jest wolny! – dopiero zaczął wydobywać się z oszołomienia. Do teraz tkwił jakby w zawieszeniu między otwarciem a zamknięciem się za nim staroświeckiej furty z litej dębiny i nie doznawał niczego poza porażeniem hałasem, od jakiego odwykł.

Wolność! Smakował słowo, wolność. Dopiero odczuł radość. Naprzód! Trzeba wydostać się z miasta, którego nie poznał i z pewnością nigdy nie pozna.

Wolność?! Zaledwie jej zaczątek, szansa. Najpierw musi wykonać, co obmyślił przez blisko dwa i pół tysiąca dni i nocy za murami, aby móc korzystać ze wszystkiego, za co oddał siedem lat życia.

Wyczekał się na postój taksówek wyczulony na każdego, kto bodaj zatrzymał na nim wzrok. Mogli go śledzić. Wciąż przecież odnajdowali różne sprawy jego i nie jego, i chcieli dopasować powiązać, ale przecież rozumiał, czego szukają. Bilans im się nie zgadzał, chociaż nie o wszystkim wiedzieli, albo nie dysponowali dowodami.

Wysiadł przed pocztą główną.

Zmożona zaduchem i zmęczeniem dziewczyna zza okienka niemrawo gmerała w podłużnym kontenerze z przesyłkami na poste restante. Czyżby zawiedli go na samym wstępie? Pozostawili samemu sobie ze skromną sumą otrzymaną w kancelarii więzienia, zanim przekroczył dębową furtę. Część zarobków z siedmiu lat pracy za murami.

Tak mogli postąpić w jednym, jedynym przypadku. Jeśli trafili w miejsce ukrycia wartości. A to wydawało się nieprawdopodobne.

Ze wzrastającym napięciem wpatrywał się w długie paznokcie urzędniczki ściekające czerwienią lakieru między koperty, karty, przekazy, śledził utkane pierścionkami, ruchliwe palce. Jest. Ręka jak gdyby ćwicząca na niezwykłych manualach wydobyła korespondencję, podsunęła przekaz telegraficzny, wzięła i zwróciła dowód, odebrała pokwitowanie i odliczyła czterdzieści tysięcy.

Lakoniczny adres: poczta główna w Warszawie i ani słowa więcej. Począł, aż strzępki podartej ćwiartki papieru ze zdaniem odbitym gumową czcionką ręcznej drukarki splucze woda w muszli, dopiero wyszedł z toalety.

Co dalej? Najpierw kupi ubranie. Nie wyróżniać się. Nie będzie obnosił niemodnego drelachu w czerwcowy upał, drelachu łatwego do identyfikacji, dopóki zachowa się z niego chociaż kawałek podszewki. Przez siedem lat przeleżał w więziennej szatni i po wewnętrznej stronie trencza miał pieczęć średniej wielkości spodeczka, odcisniętą w niezmywalnym tuszu z czytelnym napisem: *Zakład karny w Jeleńcu Olskim*.

W państwowym sklepie zwisały z wieszaków smętne kapoty, prawie takie same jak sprzed jego pójścia za mury. Pośród innych, zbliżonych krojem do widzianych na przechodniach, nie znalazł dla siebie właściwego rozmiaru.

Stracił dużo czasu, zanim w prywatnych sklepach z gotową konfekcją, co drugi mienił się butikiem, wyszukał odpowiednią bluzę, spodnie z żaglowego płótna i podręczną torbę. Wydał ponad połowę sumy podjętej na poczcie, więc zrezygnował ze sportowych pantofli obuwających większość stóp widzianych w mieście. W butikach kosztowały drogo, w uspołecznionym handlu brakowało. Zresztą wolał mieć swoje zaprzeszłe juchty na nogach niż w paczce. Teraz przynajmniej zrozumiał, jak skąpej pożyczki udzielili mu kamraci.

Już płacąc za taksówkę zauważył anemię złotego. Jednak dopiero robiąc zakupy w pełni zdał sobie sprawę z ciężaru inflacji, chociaż przecież niby wiedział z gazet i doniesień telewizji, bo już nie z cen w więziennej kantynie, która nędziała w oczach, aż ustabilizowała się na poziomie herbatników, słonych paluszków rozsypujących się przy dotknięciu jakby je upieczono z trocin, oraz cytronady przypominającej smakiem rozwodniony tusz kreślarski może nawet i żółtego koloru.

Niebawem przekonał się, że marża i jakość produktów w bufecie za murem nie została wymierzona li tylko przeciw więźniom. Tutaj w lokalu z zadęciem do wysokiej kategorii, kelner miał więcej tłustych plam na kłapach smokingu, niż pływało oczek w zupie, do kawałka mięsa z karty pod tytułem befszytk z polędwicy a'la księżę Radziwiłł przydałoby się szkło powiększające, do tego podano szklankę piątej wody po kompocie i któryś z kolei napar na fusach kawowych. Rachunek wyniósł dziewięćset złotych.

Z goryczą pomyślał o obecnej wartości dwóch milionów, jakie przed dziesięciu laty ulokował na hasło w Pekao. Dobrze. Rzucił je do podziału. Przyjrzał się swoim butom z wysokimi cholewkami i poszedł szukać schroniska Caritasu.

Nie należy do ubogich, za wszystko zapłaci. Dopiero wyszedł z więzienia, ma pieniądze, lecz nie stać go na ceny w mieście. Potrzebuje prysznic i gotowanego jedzenia, powiedział do milczącej zakonniczki. Umyty i przebrany otrzymał miskę grochówki i porcję pierogów z serem. Obiad kosztował osiemdziesiąt złotych, za kąpiel zapłacił co łaska.

W Warszawie na poczcie głównej oczekiwał list jeszcze powściągliwszy. Zawierał wyłącznie sześć cyfr.

Wszedł do rozmównicy, po drugiej stronie długo zawodził sygnał, zniecierpliwiony bezwiednie skręcał w tulejkę papier z numerem telefonu. Może został błędnie podany lub coś się poplątało Medykowi, który wyszedł na wolność wcześniej i doręczył Hefowi gryps ze

wskazówkami od Alkora. Według tej instrukcji, Hef powinien teraz warować przy aparacie, którego numer pozostawił na poste restante.

– Słucham – odezwał się wreszcie zdyszany kobiecy głos.

Zapytał o lokatora, odruchowo wsadził zmięty papier do kieszeni. Tak, potwierdziła kobieta, oczekuje pana, kamieniem siedzi, tylko w tej chwili nie może podejść: Dlaczego, dlaczego! W kłocie siedzi, za przeproszeniem.

Kiedy pełen wahań i podejrzeń przybył pod podany przez kobietę adres, Hef znowu siedział w kłocie, Alkor się wściekał, pani bawiła go rozmową. Ubolewała nad lekkomyślnością lokatora, którego przestrzegala przed zasadzkami warszawskiej gastronomii.

– Nie daj Bóg, mógł złapać salmonellę albo jakiego ajcza – tak brzmiała w jej wymowie nazwa siejającej groźby choroby. – Od małego się wzięła, a czarni ją roznoszą. Odkąd się ta nowa wenera ujawniła ni czarneckich, ni szejków na kwatery nie biorę, żeby mnie nawet afrykanerami inkrustowali, zresztą złoto teraz nie w cenie, dzisiaj kurs na angielskiej giełdzie po trzysta sześćdziesiąt sałaty za uncję, a w naszych bankach zawsze płacą mniej, widać mają trudności ze słuchaniem radia, pewno im zagłuszają w tym temacie! Ale jeśli pan coś ma, możemy pogadać. Dzisiaj płacę pięć punktów wyżej niż na sity w Londynie. Aha! Łazienka i kłocik jest na korytarzu na lewo, zawsze pali się nad drzwiami zielona lampka.

W tle pojawił się mężczyzna i kobieta wycofała się z pokoju zamykając za sobą drzwi. Tylko dlatego Alkor zorientował się, że nadszedł Hef. Nie poznał człowieka, którego przezwał Hefajstosem. Z tego imienia Płowy i reszta ukuli skrót z pierwszych trzech liter, bo nieporęcznie im brzmiała ta przydługa, dziwaczna ksywa, co do której byli pewni, że wymyślił ją szef, bo nic nie wiedzieli o kulawym kowalu, starym bogu Greków i nie byli nikogo takiego ciekawi.

– Zmieniłem się – pokiwał głową Hef. – Stuknęła pięćdziesiątka, już dla mnie z górki, szefie – miał obrzękłą twarz, podpuchnięte worki pod oczyma, rozdęty nos.

– Za dużo tłustych zakąsek.

– Coś z tego życia trzeba mieć – mruknął Hef. – Ale ty wyglądasz, jakby nie przeszło nad tobą siedem lat.

– Oczywiście w pierdłu odmładzają, nie wiedziałeś? Mów, skąd wzięłeś tę hawirę – spostrzegł, że wtrąca określenia z więziennego słownictwa. Nie zmieni skóry i pewno nigdy nie uda się zapomnieć, ale musi ocalić poprawny język i jak nigdy wyczulił się jego słuch na narzecze subkultury podmiejskiej, jakim posługiwał się Hef.

– Jak kazałeś.

Niewiele się zmieniło w tych sprawach od czasów sprzed siedmiu lat. Nadal jedni zgłaszali kwatery do biura wynajmu, inni przed biurem polowali na klientów. Od gości bez meldowania, podobnie jak od cudzoziemców, opłatę pobierano w dolarach.

– Za jedzenie ona też liczy w papierze.

Alkor domyślił się znaczenia. Podczas jego nieobecności papier, sałata – zastąpiły zielone.

– Tutaj kolacji nie kazałem, wzięłem z domu pieczone mięso i węgierskie salami, i różne inne niekiepskie rzeczy. Mam też uczciwą flaszkę, żeby oblać twój powrót.

– Na co czekasz, dawaj tę butelkę.

– Wypada zawołać Płowego. W grypsie nie wspomniałeś, brać go czy nie, więc kazałem przyjść, żeby czego nie pomyślał, niekoleżeńsko tak bez niego – płatał się Hef, unikając oczu Alkora.

– Dlaczego nie czekaliście razem?

– Bezpieczniej schodzić się pojedynczo. I myślałem, może masz co do powiedzenia na osobności.

– Wołaj Płowego.

Hef uchylił okno zasnutę od zewnątrz kratą w kształcie pajęczej sieci, gwizdnął, odpowiedział stłumiony świst. Hef podniósł słuchawkę domowego aparatu.

– Mecenasa, przyszedł nasz trzeci.

Nad wejściem domu rozbłysło światło, wzdłuż ścieżki zakwitły kolorowe lampiony, chociaż czerwcowy odwieczerz opornie poddawał się ciemności, srebrzyste świerki i wysoko podciągnięte tuje rozsnuwały mrok, trawnik wydawał się czarny. Zaszemrał automat otwierający furtkę, w chwilę później podobny odgłos dał znać o odblokowaniu wejścia. Nie było słychać, aby ktoś stąpał po korytarzu. Płowy bezgłośnie wśliznął się do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Witam, szefie! – cały obleczony w szarą skórę. Z torby obciążającej ramię wydobył butelki owinięte w papier z firmowym nadrukiem Pewexu. – Karta wstępu! – rozwinął z opakowania drogie koniaki w obłych, pękatych flaszkach i graniastą szkota.

Hef sięgnął do kąta po kosz zamykany kłapami po obu stronach pałaka.

– Cieszę się, że pana widzę, szefie!

– Rozgość się.

– Gorąco – Płowy ściągnął sajan z zamszu cienkiego jak jedwab i odrzucił za siebie na kanapę. Podsunął Alkorowi paczkę cameli, następnie wytrząsnął sobie papierosa wprost do ust, podał ogień, przypalił, schował zapalniczkę, na przegubie chybotąło japońskie seiko spięte bransoletką z rodowanego srebra. Obciągnął koszulkę z popielatego trykotu. Podkreślała zarys mocnej klatki piersiowej i węzły mięśni na ramionach.

Teraz dobiega trzydziestki, pomyślał o nim Alkor, tyle liczyłem idąc za mury. Miał trzydzieści siedem lat, poczuł się stary. A ten tutaj odgrywał przed nim światowca. Zachowanie Płowego Alkor skądś znał, lecz nie pamiętał skąd.

– Proszę skorupiaki, szwedzki półmisek i parówki na gorąco – posłużył się Płowy słuchawką wewnętrznego telefonu. Postępował ze swobodą człowieka obeznanego z obyczajami domu.

– Będziesz płacił – mruknął Hef.

– Będę, ty sknero. Odstaw te jajka na twardo, zaoszczędzisz na wikiend ze swoją starą – zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć do kosza, skąd Hef właśnie wyciągał butelkę. Szło mu to niemrawo, jakby nie mógł się z nią rozstać.

– Muszę wziąć prysznic, inaczej zasnę – podniósł się Alkor.

Mrok w korytarzu ledwo rozrzedzała zielono mżąca lampka nad drzwiami łazienki. Niżej, za ażurową przegrodą oddzielającą prywatną część mieszkania, gorzały czerwienią cztery punkty. Obracały się za nim krwawe błyski z rtęciowym poblaskiem, osadzone w jeszcze głębszej jakby zbitej w masę ciemności. Jakies niesamowite czujniki? Poczuł się nieswojo.

Wreszcie rozpoznał. W zupełnej ciszy śledziły go dwie pary psich oczu, dwa czarne dogi leżały nieruchomo podobne odlewom z takiego samego metalu jak krata zamykająca przejście do położonych w głębi pomieszczeń.

– Czekali na niego przy zastawionym stole.

– W twoje ręce, szefie! – podniósł się Hef, wyglądał na wzruszonego. Widok pełnej butelki zawsze przyprawiał Hefa o rozrzewnienie.

Szkot sparzył przełyk błyskawicą przebiegł po ciele, eksplodował pod czaszką. Przez siedem lat nie miał w ustach alkoholu. Odwykłem, pomyślał, od wielu rzeczy odwykłem. Nie wolno się upić. Drugi kieliszek zabrał zmęczenie, zapalił w głowie łagodne światło, wyostrzył zmysły. Widział, jak tamci dwaj wymieniają między sobą spojrzenia, widział, jak pod hałaśliwą radością kipią zniecierpliwieniem, bo nie po to przyszli i stawiali mu drogi alkohol, aby pić jego zdrowie, tylko nareszcie dobrać się do pieniędzy. Nie, niczego im nie ułatwi, ciekaw, który z nich nie wytrzyma pierwszy.

– A teraz ad rem – Płowy wytrząsnął papierosa z paczki tym swoim nonszalanckim gestem wprost do ust. Przypalił, wyciągnął się w fotelu i powoli wytchnął dym.

Hef zachłannie przełknął alkohol. Alkor pod ożywczym wpływem oszczędnie sączonej whisky rozpoznał w Płowym siebie, siebie sprzed siedmiu lat. Nie. Nie mógł się pogodzić. Tandetne naśladownictwo przez prymitywa z tombakowym polorem, cieńszym niż zamsz, w jaki jest opięty. Jedyne co potrafi, to kraść samochody.

– Żenię się, Alkor – powiedział Płowy patrząc ponad głowę szefa.

– Szczęść Boże – założy się, że ten prostak nie ma pojęcia, co oznacza moje nazwisko. Sam długo nie wiedział. Nosił imię gwiazdy. Zawierało coś z talizmanu, dobrej wróżby, szczęścia. Przesądny w pogodne noce spoglądał na swego patrona, zawieszonego nad dyszlem Wielkiej Niedźwiedzicy, i wypowiadał prośbę lub podziękowanie. Teraz usłyszał własny głos, jakby mówił do owej gwiazdy i pochwycił zdumione spojrzenia. Zdaje się, nie jestem zupełnie trzeźwy – pomyślał. Może i lepiej, łatwiej przyjdzie rozegrać pierwszą rundę.

– Szefie, potrzebuję pieniędzy.

– Nie widać, żeby ci się źle powodziło.

– To już nie szefa rzecz. Chcę moją działkę, chcę zabrać, co mnie się należy i to jest bardzo pilne, żenię się.

– Na razie jest tylko dwa miliony w Pekao na hasło. Jutro możemy je mieć.

– To kiepski żart, szefie. Bardzo kiepski żart i on mnie wcale nie śmieszy. Ja się nie dam wykiwać. Przez czas, co szef garował, ja się czegoś poduczyłem – w głosie brzmiała złość i groźba.

– Uspokój się, Płowy, Alkor nas nie skrzywdzi, on jeszcze dokładnie nie wie, jak się pieniądze wyróciły.

– Kilo szynki z przedniej nogi kosztuje u rzemieślników tysiąc czterysta – pośpieszył oświecić szefa Płowy.

– To nie będziesz jadł szynki tylko salceson.

– Ty, Płowy, nie robi się szynki ze świńskiej rapy, tylko z łopatki albo z kumpa – Hef usiłował rozładować atmosferę.

– Niechaj szef się zastanowi, co mówi, nas jest tu dwóch, my jesteśmy silniejsze.

– Na razie ja jestem mocniejszy, bo pieniądze u mnie. Dostaniesz, co ci się należy, ale zmień ton.

Za takiego garowałem siedem lat, pomyślał. No nie, nie osłaniał ich z altruizmu. Upił się trzema kieliszkami, pomyślał. Drażni mnie ten pierwotniak zaszyty w skórę zdartą z jakiegoś zwierzęcia. Nie mógł uwierzyć, że bez przykrości znosił go kilka lat. Zmieniliśmy się obaj. Ustało przymierze, dzieli wspólna kość. Z niego na przesłuchaniu wydusiliby wszystko jak ikrę z jesiotra, a jeśli nie, pod celą przechwalałby się każdym Pewexem i każdym ukradzionym samochodem.

Pod celą się gada. Wiedział coś o tym, każdy gada, nawet ostatni prymityw. Przychodzi na człowieka taka godzina, dla każdego inna, lecz syndrom murów działa na wszystkich, nawet najwięksi twardziele gadają, i ci przeważnie się chełpią. On, Alkor, miał szczęście, znalazł sobie niejako temat zastępczy, i był psychicznie przygotowany, przynajmniej na początek. Więzienie od dawna wliczył w kosza własne. Zaplanowane – stało się mniej straszne, wzięte pod uwagę, oswojone. A jednak się załamał. Najpierw udawał, później naprawdę uległ depresji. Trzeba tam przebywać trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku i tak siedem razy po trzysta sześćdziesiąt pięć, plus lata przestępne, wtedy już się rozumie i nigdy nie powie: rok nie wyrok, dwa lata jak dla brata.

Omylił się w rachubach, nawet nie pomyślał o dziesiątce na wyroku. Powinien skończyć prawo, nie uniwersytecką fizykę, zanim odważył się tknąć Pewexy. Znowu przyłapał się na fałszowaniu przeżytego czasu.

Nieprawda. Biorąc się za owo rzemiosło przerył kodeks karny. Wiedział, czym grozi rabunek mienia państwowego. Ale to była książkowa wiedza. Powodzenie rozzuchwalało, uwierzył w swój geniusz, pycha odebrała rozsądek. A gdzieś tam w milicyjnych rejestrach sumowały się kradzieże, odsłaniały schematy działania, wyodrębniały cechy indywidualne. I padł. Musiał paść. Zadziało prawo liczb.

Dostał się w tryby, o jakich nie miał wyobrażenia.

Przetrzywał. Nie wydał współników. Sam, wszystko sam. Teraz między nimi także sam. Ma ich w ręku, dopóki trzyma pieniądze, z chwilą podziału utraci władzę i nie może liczyć na ich lojalność. Nic nie wiadomo, mogą zechcieć wszystko. To są duże wartości, o znacznie mniejsze ludzie się zagryzali. Pożalował tego spotkania. A czego się po nich spodziewał? No tak, nie mógł narażać Iwy.

– Nie siej grozy, Alkor – prosił Hef. – Przecież też musisz z czegoś żyć i gdzieś mieszkać, a to kosztuje. I pewno masz jakieś plany, które być może, okażą się i naszymi, no nie? A tutaj, u Mecenasowej zapłacone tylko za dobę.

Milczał. Jakby nie do niego kierowano te uprzejme, rozsądne słowa.

– I trzeba było ci się szastać, Płowy? Koniaki, kawitory, tuńczyki! Szef myśli, że nam się Bóg wie, jak wiedzie, a u mnie cienko.

– Nie wzruszaj go swoją nędzą – skrzywił się Płowy. – Nie przejmie się. I bardzo dobrze, bo nie jest to składka na ubogich tylko udział. Każdemu należy się równa część.

– Wyjęto mi siedem lat. Wy żyliście.

– Eee, niewiele straciłeś, tu się kotłowało, niespokojnie było, jedzenia nie było, niczego nie było, gorzała na kartki. Niewiele szefa ominęło, można powiedzieć, spokojnie sobie na państwowym pomieszkał.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI